

ZWIĄZEK HARCERSTWA POLSKIEGO
CHORĄGIEW KOSZALIŃSKA
im. I ARMII WOJSKA POLSKIEGO
KOMISJA HISTORYCZNA

hm PL STANISŁAW KIEJDO



Moje harcerskie lata

SŁOWO WSTĘPNE

Hm PL Stanisław KIEJDO ze Słupska to jeden z najstarszych i najbardziej doświadczonych harcersko instruktorów CHORĄGWI ZHP ZAŁOŻYLIŚMY POMORSKIEJ, KOSZALIŃSKIEJ, SŁUPSKIEJ.

Swe wspomnienia harcerskie z lat 20-30-tych XX w. na WILEŃ-SZCZYŃNIE opracował z okazji 70-lecia ZHP i zostały opublikowane w 8-miu częściach w miesięczniku harcerskim /dla harcerzy starszych/

drużyna

NA TROPIE

- cz. I - nr 12 z XII 1988r. - str. 20-21,
- cz. II - nr 1 ze I 1989r. - str.
- cz. III - nr 6 z VI 1989r. - str. 20,
- cz. IV - nr 7-8 z VII-VIII 1989r. - str. 20,
- cz. V - nr 10 z X 1989r. - str. 20-21,
- cz. VI - nr 18 z XI 1989r. - str. 12-13,
- cz. VII - nr 1 ze I 1990r. - str. 12-13,
- cz. VIII - nr 6 z VI 1990r. - str. 14.

Wobec występujących już w tym czasie kłopotów z terminowym wydawaniem i możliwościami nabycia prasy harcerskiej - dla szerszego spopularyzowania tych wspomnień - postanowiliśmy wydać je w jednym z "zeszytów historycznych" Koszalińskiej Chorągwi ZHP.

Oczekujemy, DRUHU STANISŁAWIE, również wspomnień powojennych z terenów POMORZA.

IV KOMENDANT CHORĄGWI
KOSZALIŃSKIEJ ZHP
hm PL Mieczysław KOCENT

Moje harcerskie lata

Wspomnienia te poświęcam:

● Wam, drodzy żywi przyjaciele — Druhowie, z którymi razem szedłem przez życie Harcerskim Szlakiem, wierząc w Dobro, Piękno, Prawdę pod lilii i Krzyża Harcerskiego znakami.

● Wam, najdrożsi Przyjaciele, coście w kwiecie wieku na Wieczną Warte odeszli przed Tron Najwyższego z krzyżem harcerskim na piersi, wierni do końca Przrzeczeniu i Prawu Harcerskiemu, jak Ty — Wowo, Władku i Gutku, pieczętując swą krwią i życiem służbę Polsce.

Z harcerstwem zetknąłem się w 1921 roku, w Baranowiczach, jako uczeń II klasy szkoły powszechnej. Siostra moja była harcerką, jak wiele jej koleżanek i kolegów ówczesnego gimnazjum, którego byli uczniami. Wiele zbiórek odbywało się w naszym domu. Ich śpiewanie, zabawy, opowiadania o różnych przygodach harcerskich fascynowały mnie. Byłem też świadkiem przygotowania wieńca i nauki Harcerskiego Marsza Pogrzebowego, w związku ze śmiercią i pogrzebem w Baranowiczach Komendanta Chorągwi Polskiej (w 1922 lub 1923 r.). Marsz ten jest do dziś dnia jedną z moich ulubionych pieśni.

Ale z przynależności nici. Jestem za mały, trzeba mieć co najmniej 11—12 lat. O Wilczętach jeszcze wtedy nie wiadano. (Wilczęta — angielska przybudówka do skautingu dla dzieci 8—11-letnich, istniały i w ZHP).

Trzeba więc było czekać wiele lat. 1 września 1924 roku poszedłem do szkoły w Oszmianie, do klasy V i tu dopiero, we wrześniu 1926 r. wychowawca mojej VII klasy — Fryderyk Koziarz — organizuje drużynę harcerską.

Tak więc 30 września 1926 r. zostaje harcerzem. Zbiórka organizacyjna pod kierunkiem wychowawcy — druha Fryderyka Koziarza, który zostaje druży-

nowym. Oznajmia on, że będziemy mieli nr 2 bo nr 1 — ma drużyna w gimnazjum. Choć chwilowo jej nie ma, ale może znowu powstać, więc numer należy dla niej zachować. Drużyna ma mieć imię i barwę. Wybieramy imię — poetę pól i lasów Władysława Syromkę, a barwę — brązową. Drużynę podzielono na zastępy. Siedmiu najmłodszych z klasy IV i V utworzyło zastęp Wilków, którego zastępowym zostałem ja — z kl. VII. Oto skład zastępu: Genek Stosuj, Tadzio Staroście, Stach Wojniusz, Jankowski, Nowicki, Branicki, Rapcewicz, Jaskólski.

Co przeżyliśmy w pierwszym roku naszej harcerskiej pracy? Otóż aby zdobyć pieniądze, a i dla zareklamowania drużyny w środowisku, postanowiliśmy urządzić przedstawienie pt. „Niebieski (czy błękitny?) most”. Gdy już wszystko było gotowe rada drużyny, aby mieć pewność, że będziemy mieć widzów, zdecydowała przeprowadzić sprzedaż biletów po domach, w formie konkursu między zastępami — który więcej rozsprzeda. My, zastępowi, otrzymaliśmy bilety pewnego popołudnia, na razie w równej ilości. Żaden zastępowy nie wpadł na pomysł rozpoczęcia sprzedaży jeszcze tego dnia, ja natomiast alarmowo zebrałem zastęp i jeszcze tego samego wieczora rozsprzedaliśmy nie tylko otrzymaną partię, ale trzy razy dobieraliśmy, sprzedając w sumie trzy razy więcej niż pozostałe zastępy razem wzięte. Wściekli na nas byli wszyscy.

Druga przygoda — to dokładnie 4 marca 1927 (dzień wolny od nauki — święto patrona Wileńszczyzny — św. Kazimierza). Zorganizowaliśmy podchody. Po Mszy św. — zbiórka w szkole. Mój zastęp i jeszcze jeden, z drużynowym, mieli uciekać w lesie zwanym Sucha. Pozostałe, liczebnie większe pod wodzą przybocznego, miały nas ścigać, starając się wziąć do niewoli.

Lasek był w łuku rzeki Oszmianki. Było mroźno, gdzieś leżał jeszcze śnieg. Nieprzyjaciół szerokim łukiem zaczął zapędzać nas w zakole rzeki. Na rzece były dwie kładki. Dążyliśmy do ich przekroczenia, by w ten sposób uniknąć docięnięcia do rzeki, a więc i złapania. Nieprzyjaciół był jednak szybszy i obsadził kładki, zamykając nam drogi ucieczki. Postanowiliśmy jednak nie dać się. Bierzymy drużynowego na ręce, nad głowy i sami buch! w bród w rzekę i w las po drugiej stronie rzeki. Trzeba było widzieć miny nieprzyjaciół, gdy zamknawszy łuk doszedł do rzeki, a nas nie ma! Ścigający wzięli do niewoli dwóch harcerzyków, którzy, nie decydując się iść przez rzekę, ukryli się w krzakach i od nich dowiedzieli się o naszym wyczynie. Ruszyli szybko w pościg. Po trzech czy czterech kilometrach dopadli nas w głębi lasu Michałkonie i zaczęli pojedynczo wylapywać. By nie marnować sił na pilnowanie jeńców musieliśmy dać słowo, że nie będziemy uciekać. My, jeńcy rozpaliliśmy ognisko, grzejąc się, susząc ubranie, czekając na sygnał zakończenia. Stało się to ok. godz. 16.00. Wróciliśmy do domu podobni do sopli lodu, bo wzmógł się w tym czasie mróz.

Gdy wróciłem na stację, miałem wrażenie, że siedzę na rozpalonym piecu. Szybko się przebrałem, zjadłem kolację i obiad razem i — do łóżka. Na drugi dzień do szkoły. Okazało się, że nikt nawet nie kichnął. Taka to wówczas była ambicja.

Na radzie drużyny przed Zielonymi Świątkami w 1927 r. zaproponowałem wycieczkę na drugi dzień świąt — do Kamiennego Lugu (17 km). Propozycję przyjęto i ustalono zbiórkę na godz. 9.00, a miejsce na szosie wileńskiej. Rano tego dnia zaczęła się burza, co prawda nie zapowiadająca się na długo, ale ja mimo że mama puszczała, doszedłem do wniosku, że jednak drużyna nie zbierze się, a nawet o ile paru przyjdzie — zostanie odwołana. Stało się inaczej.

W bój poszedł krwawy hufiec
harcerzy,
Proporzec z krzyżem włócił ich do
boju,
Wiodły ich cienie zmarłych rycerzy,
Bronić Ojczyzny praw i pokoju.

Na święty bój
Harcerzy rój
Poszedł w okopy
Na trud i znój.

Oddał Polsce swe życie młode,
O własnym szczęściu swój sen
wyśniony.
Kul kilka w piersi wzięli w nagrodę,
Trzy łokcie ziemi i krzyż drewniany.

Pod gradem kul
Wśród naszych pól.
Legli nieczuli
Na lzy i ból.

Pomnąc na cienie poległych druhów,
Idziemy jak oni w świat wyżyny,
A za przykładem świetnianych duchów
Ideal życia zamienim w czyny.

Z bałtyckich fal,
Z tatrzańskich hal.
Zwycięskie Ozuwaj!
Popłynie w dal.

Oprócz mnie nie przyszło tylko 3—4 harcerzy. Reszta była i poszła, bo około 9-tej wypogodziło się i cały dzień była piękna pogoda.

Następnego dnia, we wtorek, przychodzę do szkoły. Po lekcjach wzywa nas drużynowy i — kazanie. Nie słucha, usprawiedliwień. Kara: dwie godziny na baczność na podwórku szkolnym, na oczach wszystkich uczniów. Nie ma rady. Stajemy, a tu po paru minutach zaczyna kropić deszczyk. Rozkaz — rozkazem. Stoimy i mokniemy. Po kilku minutach drużynowy lituje się i zwalnia nas. Taki był mores, taka dyscyplina. Proponowałeś — wykonaj. Oni idąc na zbiórkę też mokli. Być może nie jeden dzisiejszy harcerz rzuciłby drużynę, a rodzice narobili by hałasu (szczególnie wracam do 4 marca). Ale gdzie tam, nie byliśmy maminsynkami i ceniliśmy dyscyplinę, rodzice cenili ją też.

I jeszcze drobnostka. Końcowa Rada Pedagogiczna. Czerwiec 1927 r. Ja z zastępem bawię się na podwórku szkolnym i któryś z chłopców dokuczył mi tak że grzmotnąłem go w twarz. Jak na złość w sieni stał drużynowy i to zobaczył. Zabrał mnie i uszkodzonego na radę. Kazanie, kazaniem, ale groźba czwórki ze sprawowania i to na świadectwie ukończenia szkoły. Lecz uszkodzony okazał się jednak fajnym kolegą, wyjaśnił moje postępowanie swoim nietaktem i wszystko skończyło się dobrze.

N

A dódze życia spotkałem nowego przyjaciela — Ziutka Markiewicza, syna naszego nauczyciela wf. Dzie-
liła nas różnica lat i klas.

Dążność do przyjaźni wyszła ze strony Ziutka, który się staje niemal codziennym gościem na mojej stacji. Zarzuca mnie setkami pytań, na które nieraz trudno mi odpowiedzieć. Na nim wypróbowałem moją metodę poznawania chłopców. Opowiadając o swoich dziecięcych latach wspominałem mu o molch „przestępstwach” czasem prawdziwych, niektórych zmyślonych. Ziutek wtedy opowiadał o swoich wybrykach, które ja chwilowo puszczałem mimo uszu, wykorzystując to grubo później w odpowiedniej sytuacji. Wywoływało to reakcję typu: „skąd o tym wiesz?”, a ja odpowiadałem „ja wszystko wiem”, co wytwarzało z czasem mit mojej wszechwiedzy powodując, że chłopcy nawet nie pytani sami przyznawali się do najbardziej tajnych występ-
ków.

W parę lat później, gdy na skutek różnych komplikacji dogonił mnie, razem składaliśmy maturę. Przed maturą — on mocny z matematyki, a ja z historii, mieliśmy wzajemnie sobie udzielić pomocy. Piękna pogoda — szliśmy do lasu, by tam w ciszy uczyć się. Kończyło się na gadaniu lub opalaniu się i drzemce przez całe popołudnie. Obaj zdaliśmy z obu przedmiotów na czwór-
kę.

W międzyczasie w drużynie przy szkole powszechnej na miejsce druha Koziarza, który został przeniesiony do innej miejscowości, drużynowym został mój kolega — Bronisław Szuliniewicz — pracownik fizyczny. Jednocześnie drużyna zmieniła bohatera na ks. Skorupkę (bohaterskiego księdza-harcera, który na czele harcerskiego pułku zginął w obronie Warszawy w 1920 r. w ataku pod Radzyminem).

Od chwili powstania harcerstwa w szkole powszechnej do czasu powstania Hufca Oszmiańskiego łącznikiem między nami a Komendą Chorągwi, jakby opiekunem z jej ramienia, jest druha Kazimierz Pyzik, nauczyciel z Kamiennego Ługu (17 km od Oszmiany, pow. oszmiański).

W lipcu 1930 r. zostałem powołany na obóz — kurs podharemistrzowski w Ignalinie, pow. święciański. Byłem zastępowym w zastępie Lisów. Wiele przeżyć i śmiesznych, i mocnych i wzruszająca chwila apelu. Ustawione w czworobok zastępy. Pierwsze to odśpiewanie „Kiedy ranne wstają zorze” lub „O Panie Boże, Ojczy nasz”.

Odmówienie „Ojczy nasz, następnie raport zastępowych oboźnemu, a tego z kolei komendantowi. I oto na maszt wpływa biało-czerwona flaga, wyciągnięta w salucie ręce podnoszą się w górę w miarę wznoszenia flagi. Harcerski hymn: „Wszystko co nasze...”, Rozkaz dzienny. Śniadanie zjadane z wilczym apetytem i normalne dzienne zajęcia. A były one wyteżone tak praktycznie (tzw. techniki harcerskie — sygnalizacja, pionierka, terenka itp.), jak i teoretycznie — metodyka zajęć w drużynie, psychologia itd. Oprócz tego trzeba było samodzielnie przeczytać ok. 20 podręczników.

Nocą były bardzo ciepłe, nie znano w tych czasach pidżam, spanie w koszulach nocnych było niewygodne, a w spodenkach — nie wolno. Spaliśmy więc nago. Komendant Czarny lubił nocne alarmy, na sygnał których trzeba było zrywać się i wstawać jak się spało. Wypadaliliśmy goli jak święty turecki — ryk śmiechu, ale to grono harcerskie, więc nikogo taki wygląd nie raził ani nie drażnił. Były jednak i alarmy mundurowe, a często i w pełnym rynsztunku. A że w czasie alarmu nie wolno palić światła, zdarzały się tak śmieszne wypadki, jak ubranie się w cudzy mundur lub naciągnięcie bluzy zamiast spodenek. By prędzej się spakować, ładowało się do plecaka wszystko, co wpadło pod rękę — swoje czy cudze. Raz w rozpędzie jeden z kolegów wpakował menażkę z mlekiem. Staje na zbiórce, oboźny sprawdza umundurowanie i plecaki — a po siedzeniu płynie mleko.

Bliskość granicy litewskiej (litewscy chuligani często przekraczali granicę organizując napady na pojedynczych Polaków w pobliskich wsiach) wymagała czujności i dlatego warty stały z bronią. Pewnego wieczoru wyszliśmy z Czarnym w koszulach do latryny. Warta nie zauważyła wyjścia. Było bardzo ciemno. Gdyśmy wracali, wartownik zauważył białe postacie i ze strachu ryknął: „Stój, będę strzelał!” i zamiast powtórzyć to zgodnie z regulaminem trzy razy, zaczął gwałtownie repetować broń. Tylko dzięki przytomności Czarnego, który podbił łufę i krzyknął „Swoi”, uniknęliśmy tragedii.

Pewnej nocy, cudnie księżycowej, alarm strzałowy, potem w pełnym rynsztunku gra polowa „obrona linii kolejowej”. Jedna grupa wyszła, miała jąko dywersanci zniszczyć linię kolejową. Grupa, w której byłem ja, miała jej bronić. Wyszliśmy zgodnie z założeniami gry pół godziny później i zajęliśmy stanowiska koło torów kolej-
owych.

wych. Czekamy na sygnał rozpoczęcia gry. Mijają minuty, godziny, zaczyna świtać. Sygnału nie ma. Wracamy do obozu. Przed pobudką zjawia się oficer Korpusu Ochrony Pogranicza i sytuacja się wyjaśnia. Czarny robiąc alarm strzałowy zapomniał uzgodnić to z dowódcą odcinka KOP, w którym leżał nasz obóz. Toteż gdy rozległ się strzał, dowódca pomyślał, że to strzela straż graniczna, alarmując o przekroczeniu granicy przez bandy litewskie. W związku z tym na całej granicy litewskiej zarządzono stan ostrego pogotowia oraz rozesłano patrole. Jeden taki patrol natknął się na naszą pierwszą grupę, zatrzymał, otoczył, zaprowadził na strażnicę KOP i zatrzymał na placu pod bronią. Dopiero rano wyjaśniło się, co i jak.

Niedaleko naszego obozu obozowała Czarna Trzynastka Wileńska. Wspólne ogniska, gry polowe, ale i współzawodnictwo w urządzaniu obozu. W leśnej dekoracji trudno jednak było dorównać Trzynastkom. Ich obozowy Antek Wasilewski — to czarodziej, który z pni i wygiętych gałęzi potrafił wyczarować cuda. Sąsiedztwo zachęcało do wzajemnych podchodów. Pamiętam taki śmieszny przypadek. Jeden z Trzynastaków wyprawił się samotnie, by podejść nasze namioty. W pewnym momencie spostrzegła go warta. Wartownik ukrył się w cieniu z boku namiotu, do którego czołgał się „wróg”. Pozwolił mu wstać i rozpocząć rozsznurowywanie tyłu namiotu. Śpiący na pierwszej pryczy harcerz posłyszał szmer i domyślił się, co się dzieje. Nie robi jednak alarmu, lecz trącąc cichutko budzi sąsiadów, wyjaśniając przy tym, o co chodzi. „Wróg” rozsznurował namiot i wlaź do środka, a wtedy harcerze z namiotu łaps go za ramiona, wartownik tymczasem złapał go za nogi. Ci z namiotu myśleli, że chcą go wyrwać koledzy. Oni ciągną do siebie, warta do siebie. O mało chłopca nie rozerwali. Wzięty do niewoli, następnego dnia musiał czyścić ziemniaki.

Miedzy obozami trwało też współzawodnictwo, który z nich będzie miał wyższy maszt. Gdy tylko spostrzeżono, że maszt przeciwnika jest wyższy,

Zostały też zorganizowane wywiady typu krajoznawczego oraz społecznego, a mianowicie — bardzo szczegółowe zapoznanie się z życiem ludności pobliskich wsi: jaka ludność, jej charakter, zajęcia, gospodarka itp. Wywiady przeprowadzano zastępami. We wszystkich wsiach przyjmowani byliśmy gościnnie,

rozmawiano z nami szczerze, częstowano nas chlebem i mlekiem. Spostrzeżenie, jakie wynieśliśmy, było straszne — bieda, ciemnota itp. — Temat długich dyskusji, w jaki sposób zmienić sytuację. Zapraszaliśmy ludność — a szczególnie dzieci i młodzież z sąsiednich wsi na ogniska, była to niemal jedyna dla nich rozrywka, dlatego też nigdy nie brakowało gości.

Pamiętam, że pomagaliśmy w pracach polowych. Oficerowie KOP organizowali dla nas strzelanie z kbks i pistoletów. O ile strzelałem z kbks dobrze, to z pistoletu na 3-.

W trakcie obozu zdobywaliśmy też sprawności, między innymi i kolarza. Wśród wymagań była i próba natychmiastowego hamowania przed nagłą przeszkodą podczas jazdy pełnym gazem. Pamiętam tu tragiczno-komiczne wydarzenie. Próba hamowania odbywała się na ścieżce wśród lasu prowadzącej pod kątem do obozowej bramy, za nią skręt do środka obozu wprost na maszt i do namiotów, przed namiotami brzoźki. Jeden z kandydatów na kolarza ruszył i w pewnym momencie egzaminujący tuż przed bramą rzucił wołek z sianem. Nasz kolarz zagubił się i zamiast hamować nacisnął jeszcze pedał, z olbrzymią szybkością wpadł za bramę a widząc przed sobą namioty puścił kierownicę i złapał się za stojącą obok brzożkę „czule” ją obejmując, a rower z impetem wpadł do namiotu siejąc popłoch wśród w tej chwili siedzących na pryczy harcerzy. Wszystko jednak skończyło się szczęśliwie i dla jeźdźcy i dla roweru, choć ten pierwszy przez minutę — dwie nie mógł zrozumieć, co robi na brzożce i dlaczego ją obejmuje.

Poznałem czar obozowego ogniska.
Cisza dokoła, las tylko szumi
Wiatr lekko zgina konary drzew.
Żaden gwar pieśni naszej nie stłumi,
Boć to harcerski potężny śpiew.
Języki ognia syczące ku górze
Unoszą z sobą tumany iskier.
I giną gdzieś w wieczności chmurze
Gdzie rządów boska moc trzyma ster.
Jakże wesoło ognisko płonie
I w naszych sercach zapala krew,
Więc zasiądźmy w braterskim gronie
Na komendanta naszego zew.

Gdy po ćwiczeniach mamy wolny czas
To do kucharza wszyscy idą wraz.
W ręku menażki w blasku ognia lśnią
a ty kucharzu, pełnij służbę swą.
Od dymu mnie bolą oczy, ogień ręce
parzy mi

oj ty, dolaż moja dola, kucharz gorzkie
leje lzy.
Każdy woła: „jeść”, każdy woła: „jeść”.
Każdy gdera, ponieważ kucharza
część.
A kucharz biedny, on nie może
narzekać, zwlekać
Gotując strawę, dławi w sercu lęk,
Czy wiara znów nie będzie nań
narzekać
„Żebyś pękl, żebyś pękl, żebyś pękl”

Parę dni przed zakończeniem obozu otrzymałem pismo z Komendy Chorągwi kierujące mnie i jeszcze jednego z Czarnej Trzynastki Kazika Ilcza na I Kurs Instruktorów Zuchowych nad jez. Wigry w dniach 2—15 sierpnia. Przed wyjazdem z obozu spotkała nas wielka przyjemność i zaszczyt, a mianowicie odwiedził nas ks. biskup Władysław Bandurski, Przewodniczący Zarządu Oddziału ZHP Wilno. Dzieciaki powitały go bukietem polnych kwiatów i piosenką. A że do ogniska, na które przyjechał, było jeszcze sporo czasu, poprosił o koc i spędził czas nad brzegiem rzeki w głębokiej zadumie. Zjadł z nami obozową kolację, a następnie wziął udział w ognisku, bawiąc się razem z nami i wygłosił też bardzo serdeczną gawędę.

Wpadłem do domu na jeden dzień, by zmienić bieliznę i hajda na kurs. Komendantem był druh hm Aleksander Kamiński, twórca ruchu zuchowego, pospolicie zwany przez nas Kamykiem. Pełniłem na kursie funkcję zastępowego. Był to niezapomniany kurs. Kamyk zapowiedział nam, że na zajęciach teoretycznych owszem mamy być jak na instruktorów poważni i wszystko uczciwie zapisywać, natomiast na zajęciach praktycznych mamy wcielać się w skórę 8—10-letnich chłopaków. A więc bawimy się, majsterkujemy jak maluchy — luki, dzidy, szczudła, lassa, lódki z kory, zamki z piasku itp. Wspinaczka po drzewach, zasmolona skóra, nie jedna dziura w portkach itp. A płasy, piosenki. Na przemian — to Indianie, to Robinsonowie itp., itd., cudownie. Z zapartym tchem czytamy jeszcze w rękopisie „Antka Cwaniaka”, „W drużynie zuchów” i częściowo „W Kręgu Rady”. Dwanaście dni mija jak z bicia trzaśł. Pożegnanie z Kamykiem — lzy z obu stron.

A oto niektóre zdarzenia z tego kursu. Na obozie był przedstawiciel skautów czechosłowackich, z zawodu kapitan żegluga na Wełtawie i Dunaju. Za-

poznał nas z pracą Wilcząt Czeskich. Codziennie były kąpiele w jeziorze. Nasz gość ledwie pluskał się przy brzegu aż raz skusiło go wejść na trampolinę i wykonał cudowny skok. Zaczęliśmy go dopingować, by powtórzył, dał się uprosić. Okazało się ostatecznie, że był wicemistrzem Czechosłowacji w skokach do wody. Mieliśmy wspaniałe widowisko do końca obozu. Pewnego dnia w nocy krzyk wartę pod adresem naszego namiotu. „Zgaście światło”. My odpowiadamy, że nic się u nas nie pali. Ale warta dalej drze się, a w końcu wpada wściekła do namiotu. Okazuje się, że podczas pobytu w lesie przynieśliśmy stary duży korzeń i on to świecił pod łóżkiem.

Czas wracać. Razem z nami, tzn. z Kazikiem i ze mną jedzie do Wilna jeden z instruktorów lwowskich, ksiądz. Jedziemy przez Grodno. Konduktor informuje, że pociąg w Grodnie ma stać 20 minut. Ksiądz z Kazikiem postanawiają udać się do bufetu. Ledwie doszli do stacji, a tu pociąg rusza. Informacja była błędna. Co robić? Zostałem bez biletu, bo oni mieli z sobą, a na głowie cały ich bagaż. Melduję konduktorowi o tym, co zaszło. Uspokaja mnie i oświadcza, że zatelefonuje do Grodna z najbliższej stacji, gdzie stanie pociąg (dopiero Druskiéniki — prawie 100 km). Aż tu otwierają się drzwi przedziału i wchodzi moje zguby. Posłyszeli zapowiedź odjazdu i ruszyli biegiem godnym najlepszych olimpijskich biegaczy, dopadli ostatniego wagonu i prawie wisząc dostali się na schody i przedzierając się przez tłum w korytarzu, dobiegli do mnie.

Kiedy wyjeżdżaliśmy na kurs, Komendant Chorągwi polecił byśmy nie jechali do domu. Ale przyjechali na kurs podharcemistrzowski w Rykontach, by uczestników kursu zapoznać z tym, czego nauczyliśmy się na kursie zuchowym. Kazik nie posłuchał i jako przewodnik księdza ze Lwowa pojechał do Wilna. Ja zameldowałem się na obozie. Zostałem instruktorem — gościem. Pamiętam bardzo ciężką burzę, straszliwą ulewę i wichurę, która pokotem położyła dziesiątki drzew. Spałem w jakimś zastępie, gdzie zastępowym był harcerz z Dżisny Rysiek Baran. Był też zastęp Niedźwiedzi, w którym jeden z członków miał czarne wąsik. Otóż członkowie innych zastępów postanowili obciąć te wąsy. Nie wolno było użyć siły, tylko sprytem. Ale był czujnie pil-

nowany przez cały zastęp. Zapadła decyzja, by zrobić to w nocy. Skąd się jego zastęp dowiedział o planowanym napadzie, nie wiem, dość, że wśród prycz rozciągnęli m. sterna pajęczynę ze sznurków. Właściciel wąsików spał na ostatnim łóżku. Jak przeciwnicy dostali się mimo siateczki do łóżka, to magia, ale gdy już nachylali się nad śpiącym, rozległ się krzyk zastępu. Napastnicy runęli do ucieczki i wtedy siatka pokazała swoją użyteczność. Guzy i sińce na apelu dobitnie świadczyły o nieudanej wyprawie. Ale właściciel sam wąsiki zgolił.

Był też w tym zastępie śpioch. Pewnej nocy Czarny robi alarm. Śpioch śpi. Drugi raz — śpi. Trzeci raz — aż zastęp wściekły, bo tracił punkty, chwycił śpiocha, wyniósł pod maszt i położył w kałuży, bo akurat było po deszczu. Obudził się dopiero rano mocno zdziwiony, co się dzieje. Na drugi raz już się pilnował.

My z Ryśkiem postanowiliśmy zdobyć sprawność sygnalisty. W każdej wolnej chwili ćwiczyliśmy zajadło. Przyjechał druh Puciata, specjalista od sygnalizacji. Idziemy nad Wilę. Druh Puciata przeprawia się na drugi brzeg, nam każe czekać na sygnał. Zaczyna się. Nadaliśmy depezę jak należy. Teraz odbierać. Słońce świeci w oczu. Migają chorągiewki. Coś się składa. Błysk światła słońca. Co za litera? Ale po zakończeniu całość układa się jak trzeba.

„Na brzegu Willi tańczą harcerze”. Wraca druh Puciata i ze sprawność nici, bo treść brzmiała „Na brzegu Willi tańczą harcerze”. Nie mamy żalu. Nie wolno tolerować niedokładności. Szanowaliśmy wymagania. Nic za piękne oczy.

■ A praca w drużynie? Toczy się normalnym torem. Realizuje się stopnie i sprawności, biwaki, wycieczki, wielkie i małe gry itp. Nie ma kampanii, akcji, alertów, a jednak lubimy naszą pracę, nasze harcerstwo. Od czasu do czasu przyjedzie ktoś, by odebrać Przyrzeczenie, bo zgodnie z ówczesnym regulaminem mógł je odbierać co najmniej podharcemistrz, wyjątkowo osoba upoważniona przez Komendanta Chorągwi.

W grudniu 1931 r. starsza młodzież gimnazjalna, a szczególnie harcerze, biorą udział w przeprowadzanym powszechnym spisie ludności. Wszędzie jesteśmy przyjmowani z dużą życzliwością. W nagrodę dostajemy specjalne medale.

6 marca 1932 r. zmarł nieodżałowanej pamięci ksiądz biskup Władysław Bandurski, biskup połowy WP i Przewodniczący Zarządu Oddziału ZHP Wilno, złotousty kaznodzieja, pisarz. Pogrzeb z udziałem Prezydenta RP, Marszałka Piłsudskiego, generałów, Rządu, korpusu dyplomatycznego i nieprzeliczonych rzesz ludzkich. Biorę udział w delegacji harcerskiej naszego powiatu. Widzę wszystko. Stoimy u drzwi katedry. Spoczął w niej na wieki.

Zakończenie roku szkolnego wypadło nieszczęśliwie. W szkole robót i rysunków uczył nauczyciel bardzo nerwowy, często więc dochodziło do poważnych incydentów z uczniami, a nawet bicia, rzucania narzędziami itp. Koledzy wiedząc, że mam mir u dyrektora prosili mnie o interwencję. Zrobiłem to, prosząc jednak o dyskrecję i takie załatwienie sprawy, by nikt nie ucierpiał. Nie wiem, jakimi drogami na promocyjnej Radzie Pedagogicznej dostało się do wiadomości grona, kto interweniował, wywołując oburzenie na śmiałość, żądając odwołania i przeproszenia. Odmówiłem czując słusność postępowania, a więc skutek, że będąc słaby z języka niemieckiego dostałem na koniec roku dwóję i zostałem na drugi rok. Poprawek nie było. Uważam jednak, że postąpiłem słusznie, nie byłem przecież dzieckiem, miało się już dwadzieścia lat i chyba prawo do swojego zdania. Tuż po zakończeniu roku — Złot Chorągwi Wileńskiej z okazji XX-lecia harcerstwa na Ziemi Wileńskiej. Złot odbył się na przedmieściu Wilna Wołokumpie i trwał 15 dni. Poza przemarszem przez miasto nic specjalnego nie pamiętam.

W roku 1931 15 grudnia otrzymuje pracę w Oszmianie w Powszechnym Zakładzie Ubezpieczeń Wzajemnych druh Adam Jentys, członek Błękitnej Jedyńki w Wilnie. Jemu powierza Komenda Chorągwi organizację hufca oszmiańskiego i wyznacza go na p.o. hufcowego, choć nie znalazłem żadnych dokumentów nominacyjnych. Ale faktycznie tak było. W zasadzie działalność jego jest niewielka. Pierwszy większy wyczyn to zorganizowanie spotkania Nowego Roku 1932 w Noc Sylwestrową. Wybrało się na to spotkanie zaledwie siedem osób. Wzięliśmy z sobą sanki tzw. wilki z przodu niewielkie, plecione siedzenie i długie płozy. Jeden siadał w takim krzeselku i kierował

sankami, reszta ustawiała się z tyłu na płozach. Do lasu było pod górkę, ciągnęliśmy więc sanie puste. Siarczysty mróz, śnieg skrzypi, skrzy się droga i drzewa, ciemne niebo usiane srebrem gwiazd. Cudownie. Mocujemy na choince w głębi lasu świeczki, zapalamy. Dokładnie o północy życzenia, przełamanie się opłatkiem, kolędy i harcerskie piosenki. Z dala migocą światła miasta. Wracamy. Tym razem droga schodzi do miasta prawie półtorakilometrowym spadem, wspaniały zjazd. Adam siada na krzeselku. Pozostali stają na płozach. Sanki nabierają pędu, chyba ponad sześćdziesiąt km/godz. W pół drogi na szosie odrobina piasku... i lecimy jak wyrzucani z procy. Pękają sanki, Adam leży rozciągnięty na drodze, my całe szczęście wpadamy w zasy. Moment całkowitego oszołomienia, a potem wybuch huraganowego śmiechu. Oczywiście z dalszej jazdy nici. Sanki w strzępach. Aha, mieliśmy jeszcze pochodnie, które zapaliliśmy przed zjazdem. Zbieramy szczątki sanek na ramiona, zapalamy ponownie pochodnie i śpiewając marsza pogrzebowego idziemy do miasta. Jest coś około drugiej w nocy. Z mijanych domów dolatują wesołe śpiewy, muzyka.

W roku 1932 kolejne Jamboree w Gödöllo koło Budapesztu na Węgrzech. Komendant Chorągwi proponuje mi wzięcie udziału, ale niestety muszę tym razem zapłacić 150 zł. Niestety, nie stać mamy, na taki wydatek, toteż zwróciłem się z prośbą o pomoc do pracującej jako przedszkolanka siostry. Jakim cudem wytrzasnęła tę sumę, nie wiem, ale ku mojej rozpaczy, nadeszła ona w drugim dniu po wyjeździe naszej delegacji. A jeszcze na dworcu w Wilnie druh Czarny oczekiwał na mnie. Co robić?

W związku z tym porozumiewam się ze znanym mi już z druhem Kowalikiem i wyjeżdżam znowu do Rykont z jego drużyną, jako zastępca d/s zuchów, których jest 12. Mam więc możliwość praktycznego zastosowania zdobytych na kursie zuchowym wiadomości i umiejętności. Indianie, Robinsonowie itp. Pełno nas w lesie: na czubkach drzew, płyną tratwy i łodzie itp. A wieczorem, gdy zuchy leżały już na pryczach — opowiadanie bajek i baśni. Dni są upalne, a więc parę godzin kąpieli i opalania, ale w tym celu trzeba było przepłynąć na drugi brzeg rzeki. Gdzie była plaża i bardziej bezpieczna głębokość. Harcerze, wychowani

nad rzeką, z komendantem obozu na czele przeprowadzali się wpływ. Bystry prąd znosił bractwo dość daleko, lądowali na drugim brzegu w znacznych odległościach. Ja z zuchami przeprowadzałem się wielką łodzią, zamiast wiosel — drąg. Też nas nieźle czasem zniosło. W obozie był instruktor nauki pływania, ćwiczyli więc harcerze różne style: skoki, nurkowania, a także i zuchy. Ja pływałem bardzo słabo, ale wstydziłem się korzystać z nauki i tylko podpatrywałem co i jak, odchodziłem dalej i próbowałem swoich sił. Kiedyś ćwiczyli kaczki nurek. Odszedłem kilkanaście metrów i... nie udało się przewrót, i stanąłem w wodzie na dnie na głowie, tracąc zupełnie orientację. Od pasa wystawałem z wody. W ostatniej chwili, gdy już brakło mi tchu, jakoś oderwałem się od dna i wynurzyłem z wody. Najadłem się strachu i więcej podobnych prób nie robiłem.

W puszczy pełno jagód, nie trzeba się ruszać, wystarczy obracać się na brzuchu i jak sięgnie ręka po paru minutach pełna menażka i brzuch. Trochę spaceru, a w mig wiadra jagód. Nie można było nastarczyć cukru, śmietany czy mleka.

Po tym obozie jeszcze kilkudniowy własny obóz drużyny w majątku rodziców jednego z harcerzy w Uglejowie. Koło obozu było pastwisko koni majątkowych. Wieczorem musiały wrócić do stajni. Była to dla nas frajda — konna przejażdżka.

W okresie matury odbywały się co roku czterodniowe manewry gimnazjalnego hufca p.w., oraz oddziałów strzeleckich, hufca seminarium nauczycielskiego z Borun. Tym razem w 1939 r. uprosiłem komendanta PW por. Korolkiewicza, by w manewrach wzięli udział wszyscy harcerze mojej drużyny. Otrzymałem zgodę. Mieliśmy stanowić samodzielny harcerski pluton pod moją komendą. Otrzymaliśmy broń, podwójną ilość amunicji, maski przeciwgazowe i zapasowe skrzynie nabojów. Marsz całej oszmiańskiej grupy — 18 km do stacji Oszmiana, skąd ma nastąpić rano następnego dnia atak na miasteczko Soly, bronione przez „wroga”, drugą grupę oddziałów p.w. Maszerujemy szykiem ubezpieczonym, na czele pluton harcerski i jego szperacze. Przed nami prowadzi zwiad pluton kolarzy. Wieczorem dochodzimy do stacji. Kolacja. Dowództwo wyznacza zadania dla poszczególnych oddziałów. Nasz har-

cerski pluton otrzymuje zadanie ubezpieczenia pewnego odcinka wzdłuż bagien, przez które jednak prowadzą łatwe do przejścia dróżki. Z prawej strony linia kolejowa z Wilna do Hołodeczna. Jej też mamy pilnować. Rozstawiam „czujki”, ustalamy hasło. Reszta skupia się pod stodołą. Noc majowa zimna. Ciągnie chłód od mokrych łąk, a my tylko w mundurkach, krótkie porcieta. Dzwonią zęby. Placówka nasza wypadła koło samotnego gospodarstwa, stąd stodoła, o której wspomniałem. Decyduję się obudzić gospodarza i prosić o możliwość schronienia się do stodoły, ale gospodarz prosi nas do mieszkania, przynosi słomę. Wolni od służby układają się i zaraz zasypiają, ja tylko nie mogę spać, muszę czuwać. Tuż przed wschodem słońca zjawia się dowódca grupy atakującej (tzn. naszej) i oznajmia nam, że mamy ruszać jako pierwsza atakująca grupa. On konno, my za nim pieszo w gęstej mgle. Trasa chyba z 10 km, ale chłopaki trzymają się dzielnie.

Słońce coraz wyżej, mgła zaczyna opadać, robi się coraz cieplej. Z głośnym „hurra” i waląc z karabinów wpadamy do miasteczka. Zaskoczenie „wroga” olbrzymie. Wkrótce z różnych stron rozlega się palba i okrzyki takujących innych naszych oddziałów. Grają karabiny maszynowe, huk pękających granatów. Wre walka, całe miasteczko na nogach. Spychamy wroga do rzeki, uciekają bez bitwy. Bitwa skończona. Zwycięstwo. Zarządzono odpoczynek, śniadanie i znowu odpoczynek. Chłopaki padają jak podcięte drzewa i w mig zasypiają twardym snem. Na obiad niemal trzeba użyć armat, by się dobudzić. Po obiedzie nasz pluton dostaje wozy na powrotną drogę. Spią na wozach jak susły. A następnego dnia niekończące się opowiadania o przebytej „wojnie”. Zostało nam dużo amunicji. Uprosiłem komendanta PW, byśmy mogli użyć jej w innym czasie. Otrzymałem zgodę i w najbliższą niedzielę dostałem karabiny i tę amunicję i urządziliśmy tylko nasze, harcerskie „manewry” w lesie w Michałkowicach (4 km). To była frajda.



W

akacje 1933 r. — obóz własny w lasach wsi Michałkowie niedaleko Oszmiany nad rzeką Oszmianką.

Nie był to obóz reprezentacyjny, nie mieliśmy dobrego sprzętu, namioty z pałatek. Istotnym był jednak humor, ciekawy — harcerski program, wieczorne ognisko i spora gromadka dzieci z sąsiedniej wsi, biorących udział w naszych zajęciach. Jest to okres sianokosów, pomagamy w zbiorach. Oczywiście zdobywamy sprawności.

Rozkazem Naczelnika 1p 3 z marca 1934 r. powołany został Inspektorat Kresowy, obejmujący chorągwie leżące na terenie przygranicznym, strzeżonym przez Korpus Ochrony Pogranicza, a więc leżące wzdłuż granic Litwy, Łotwy, ZSRR. Ustalał on zasady współpracy harcerstwa z KOP, szczególnie ważne w okresie wakacji, gdy na tym terenie były rozbijane obozy — pomoc w spręcie, porcje żywnościowe itp.

Wakacje 1934 r. spędzam w domu. Nie zostałem dopuszczony do matury. Drugi raz w życiu uczniowskim drugi rok. Powody — w innym miejscu wspomnień. Załamane się całkowicie i gdyby nie spokój mamy i perswazje sióstr, przerwałbym naukę. Powoli jednak doszedłem do siebie i we wrześniu zdecydowałem się uczyć dalej. Przecież to ostatecznie rok matury, tym razem chyba pomyślny. Dlatego też nie wyjechałem na żaden obóz.

W końcu 1933 r. lub na początku 1934 r. komendantem chorągwi został druh hm Paweł Mateusz Puciata, ps. Kardynał, tak nazwany, gdyż nosił kolorową piuskę i przy mundurze szeroki, słucki pas. Otóż w styczniu lub lutym 1935 r. przyjechał na wizytację z jednoczesną pretensją za nieopłacane przez drużynę składki, zarządzając na zbiórce drużyny zawieszenie mnie na dwa lata w prawach prowadzenia drużyny. Zerwałem się, odpiąłem krzyż, podszedłem do stolika i położyłem go przed komendantem, trzasnąłem drzwiami i wyszedłem. W trakcie nieobecności nastąpił wybór nowego drużynowego.

Po zbiórce przyszedł druh Puciata do mnie na stację przy ul. Holszańskiej. Nie wstałem na powitanie, nie odezwałem się ani słowem. Druh komebant położył przede mną krzyż i powiedział mniej więcej te słowa: „Za dobrym byłeś harcerzem i wiem, że bardzo je kochasz, wiele działałeś. Oddaję krzyż, bo wiem, że harcerzem byłeś, jesteś i będziesz. Życie przed tobą”. Nie odpowiedziałem ani słowem, nie podałem ręki na pożegnanie. Plakałem. Miałem szalony żal do drużyny, ich to przecież winą, a oni nie wystąpili w obronę.

Na drugi dzień oznajmiłem nowemu drużynowemu, że opuszczam drużynę i przechodzę do mojej dawnej, macierzystej drużyny „dwójki”, która w międzyczasie zmieniła imię na X. Ignacego Skorupki, drużynowym był mój kolega, Broniek Szuliniewicz. Zostałem przybocznym i zastępowym za-

stępu o ulubionej nazwie Wilki. Sprawa moja nabrała wkrótce nieoczekiwanego rozgłosu. Otóż do Oszmiany przyjechała pracownica GKŻ drużna Irena Adamowiczówna, siostrzenica mego nauczyciela w gimnazjum biologii, p. Adamowicza, z którego synem, a moim kolegą i harcerzem Zbyszkim przyjaźniłem się. Opowiedział on o mnie drużnie Irenie, ta się mocno wzruszyła i wzburzyła. Nastąpiło spotkanie i drużna Irena oświadczyła, że nie puści tego płazem, a mając znajomości w GKH spowoduje cofnięcie nie-rozsądnej decyzji druha Puciaty. Przy okazji zapoznała mnie z działalnością drużyn robotniczych w Warszawie i na Śląsku oraz z pracą żydowskich drużyn skautowych skupionych w tzw. Haszomer Haczair.

Razem z nią wziąłem udział w ich zbiórce. Nic oczywiście jako szarak nie mogłem zrobić odnośnie współpracy ich z nami na naszym terenie. Sprawa ta stanie się aktualna, gdy zostaną hufcowym, ale wojna przerwie ich i naszą pracę. W międzyczasie zdałem maturę. W roku tym wypadł Jubileusz 25-lecia Harcerstwa, w związku z tym zwołany został Zlot w Spale. Drużyna nasza nie wysyłała, z braku funduszy, reprezentacji, nie miałem więc możliwości wyjazdu. I tu przyszła mi z pomocą drużna Adamowiczówna, która na terenie Warszawy współpracowała bardzo ściśle z 55 WDH robotniczą i oni to zaprosili mnie jako swego gościa. Zlot odbył się w dniach 11—25 lipca 1935 r. Na terenie Zlotu spotkałem się z druhem hm Grześkiem, który od 1 maja 1935 r. został Komendantem Chorągwi Wileńskiej, a na

Złocie pełnił funkcję Komentanta V Podobozu, w skład którego wchodziły delegacje chorągwi wileńskiej, wołyńskiej i jeszcze jednej. Otóż druh Grzesiak i druhna Adamowiczówna zainteresowali moją sprawą druha hm Antoniego Olbromskiego — Naczelnika GKH-y, a na Zlocie Komentanta Naczelnego całego Zlotu. Druh Naczelnik anulował decyzję druha Puciaty, co jednak praktycznie nie dawało mi nic, bo drużyny w Oszmianie były obsadzone, byłem też po maturze, czekało wojsko lub też poszukiwanie pracy. Ale rehabilitacja była ważna. Pozostałem więc nadal członkiem „dwójki”.

A teraz Zlot Spalski. Dzielił się on na dwa Zloty: Organizacji Męskiej i Organizacji Żeńskiej, każdy z nich miał swego komentanta. Zloty dzieliły się na podoboz, a te na drużyny zlotowe. Podobóz męski wileński z innymi jeszcze delegacjami tworzył V Podobóz, jak wspomniałem, z druhem Czarnym na czele. Przecudne przeżycie, potężna, wspaniała manifestacja dorobku, prężności, wartości harcerstwa. W Zlocie brało udział ponad 35 tys. harcerzy i harcerzek oraz delegacje skautów zagranicznych z wielu krajów europejskich, z USA i Kanady oraz harcerstwa polskiego zagranicznego. Wszyscy uczestnicy Zlotu otrzymali pamiątkowe plakietki koloru jasnobrązowego z ciemnobrązowym łubrem i napisem „Spała 1935”.

Wspaniały las spalski zamienił się w wielkie miasto namiotów, z kioskami, sklepikami, kawiarenkami, hotelikami pod sosną, pocztą, szpitalem, przychodnią lekarską itp. Wspaniałe drogi, oświetlenie elektryczne, wodociągi, kanalizacja, telefony, całkowita radiofonizacja. Teren ogrodzony siatką, wejście tylko przez bramy. Porządku pilnuje specjalna harcerska „żandarmeria” — reguluje ruch, sprawdza przepustki, kontroluje każdą cywilną osobę. Porzą-

dek idealny. Do dyspozycji Zlotu olbrzymi stadion sportowy na ogniska i inne wielkie zbiórki. Wszystko to zostało przygotowane w ciągu roku poprzedzającego Zlot, przez specjalne harcerskie brygady robotnicze. Wspaniała Wystawa Dorobku Harcerstwa.

14.07. w obecności Prezydenta RP prof. Ignacego Mościckiego, Sejmu i Senatu, Rządu, Korpusu Dyplomatycznego i ok. 100 tys. gości na trybunach otwarcie Zlotu, a po części oficjalnej — defilada. Początkowo pogoda możliwa, ale zaczyna się chmurzyć i w połowie defilady lunął deszcz. Goście skryli się pod parasole, ale harcerze nie przelekli się i moknąc twardo maszerują. Taka ambicja. Przecudne są wieczorne ogniska, kierowane przez jakiegoś druha. Proszę wyobrazić sobie 35 tys. zgodnie śpiewających, a drugie tyle gości na trybunach. Wszystko gra, w czasie gawędy idealna cisza. Oczywiście ognisko jest radiofonizowane. W godzinach popołudniowych na stadionie występy poszczególnych chorągwi i przydzielonych im pod opiekę delegacji skautów zagranicznych. Szczególnie utkwił mi w pamięci występ chorągwi krakowskiej, z którą występowali Węgrzy. Oni to zawsze przychodzili na stadion (500 osób) z dętą orkiestrą, i gdy wchodziłi, chowali nuty i z pamięci grali „Pierwszą Brygadę” przy burzy oklasków zebranych na stadionie harcerzy i gości. Oni to dali pokazy tańca oraz ćwiczenia ze wstęgami, z których nad głowami układała się flaga polska i węgierska. A potem specjalne „bumerangi” w kształcie krzyża, puszczane w kierunku trybun wracały do rąk rzucających. No a czardasze! Podczas Zlotu odbywały się różnego rodzaju zawody, między innymi po raz pierwszy wielki bieg harcerski — przeszkodami oraz zwiady krajoznawcze i społeczne.

Z różnych stron rozlegają się powitalne słowa „Czuwaj” zrozumiałe przez wszystkich i często przez nich używane. Ale rozlegają się i „Be prepared” (angielskie), „Sanatate” (rumuńskie), „Jo munkat” (węgierskie), „Seid bereit” (niemieckie) itp. Na drogach i ścieżkach złotych kwitnie „Change” („wymiana”), międzynarodowe słowo skautów całego świata. Polegało to na tym, że pokazywało się coś, co się chce dać i to, co się chciało od spotkanego skauta dostać, czyli handel zamienny, ale honorowy, by wymiana była mniej więcej jednakowej wartości. Rezultat był taki, że harcerze po Zlocie wracali np. w spodenkach angielskich, zamiast rogatki — kapelusz kanadyjski, finka wymieniona na oryginalny nóż indiański itp. Rodzone mamy na dworcach przy powitaniu nie poznawały swoich synów czy córek. Wspaniałym pomysłem redakcji „Skauta” było wcześniejsze ustalenie jakby „kotylionów” na taneczną zabawę, a mianowicie wykonanie i ogłoszenie o ich istnieniu w ilości 8—12 jednakowych znaczków. Każdy z uczestników wybierał sobie jeden taki jeszcze przed wyjazdem na Złot, z tym, że musieli je wybrać harcerze z różnych stron Polski. Po przybyciu na Złot każdy przypinał swój znak i wędrując po Zlocie miał za zadanie znaleźć innych uczestników z takim samym znakiem. Gdy się odszukali wszyscy, a wiedzieli ilu ich miało być, mieli wspólnie zorganizować jakieś spotkanie, np. ognisko, zgłaszając się przedtem obecnej na Zlocie redakcji. Pierwsze grupy otrzymywały cenne nagrody. Cel tego — zawarcie przyjaźni przez harcerzy z różnych stron Polski. Była to wspaniała zabawa. Główna Kwatera opracowała też i ogłosiła bardzo ciekawą sprawność z okazji Złotu „Otwarte oczy”, zdobycie której wymagało wielu wiadomości o Polsce, Polonii, historii harcerstwa i skautingu, wymiany korespon-

dencji itp. Poszczególnym chorągwiom były przydzielone zadania i tak np.:

Łódź — służba sanitarna;
Kraków — dział rzemieślniczy;
Wilno — artystyczna;
Foznań — służba wodna (kąpiel w Pilicy);
Lublin — łączność;
Warszawa — aprowizacja Złotu itd.

Koszt wyżywienia na Zlocie — 20 zł + 5 zł kosztów administracyjnych. A oto rozkład dnia (zdobyłem z czasopism harcerskich):

6.20 — pobudka
6.25 — gimnastyka
6.50 — porządki, mycie się
7.30 — sygnał do modlitwy
7.35 — modlitwa śpiewana z orkiestrą, podniesienie flagi
7.45 — śniadanie
8.20 — odprawa służb
8.30 — odprawa drużynowych w podobozach
8.45 — harce, kąpiel
12.30 — obiad
13.30 — ubieranie się, porządki
14.00—19.00
— arena 15.00—16.30
teatr 17.00—19.00
— technika 15.00—19.00
19.00 — kolacja
20.00 — ognisko lub czas wolny
21.30 — powrót, przygotowanie się do snu
22.30 — cisza nocna

Wspaniałe były pobudki i capstrzyki. Jak to się odbywało? Jak wspomniałem, Złot był radiofonizowany. Przed godz. 6.20 rozlegał się z głośników „Marsz generalski”, a punktualnie o 6.20 sygnał pobudki grany na trąbkach. Inaczej capstrzyk. W środku Złotu przy Komendzie Głównej znajdował się wysoki maszt z bocianim gniazdem, mniejsze takie w podobozach i jeszcze niższe bez bocianich gniazd w drużynach. O godz. 22.30 zaczęli grać hejnał wieczorny czterej fanfarzyści na centralnym maszcie cztery razy. Gdy skończyli oni, zaczęli grać

też cztery razy fanfarzyści podobozów, a gdy oni skończyli rozlegały się trąbki w obozach drużyn. Rzadko doczekało się końca tej gry. Dźwięki zdołały uśpić.

W związku z tym, że byłem w robotniczej drużynie harcerskiej, miałem możliwość zapoznać się z życiem robotniczym i ich problemami, poglądami itp. Wędrując po terenie Zlotu mogłem poznać życie innych chorągwi i skautów zagranicznych. Była to dobra szkoła pogładowa instruktorska.

Kupiłem sobie na Zlocie wiele pamiątek. Wracałem do domu razem z delegacją skautów lotewskich i gdy żegnałem ich na dworcu w Wilnie, zapomniałem je zabrać ze sobą i pojechały do Lotwy. Przepiękne były Złotowe dni.

29 sierpnia 1935 r. tragedia, umiera mój serdeczny druh, zastępowy I ODH zastępu „Mysikrólików”

Staszek Wiciąłojc. Staszka poznałem 1933 r. jako ucznia I klasy gimnazjum. Zgłosił się on zaraz do drużyny, którą wówczas prowadziłem w gimnazjum. Został od razu zastępowym zastępu złożonego z chłopaków z jego klasy, a że lubili lotnictwo, mieli chęć zajmować się modelarstwem, no i byli jacyś drobni, wybrali nazwę „Mysikróliki”. Staszek z miejsca zwrócił moją uwagę i zdobył sympatię. Z każdym dniem zamieniała się w obopólne przywiązanie. Staszek niemal na każdej przerwie szukał mnie, a po lekcjach dość często czekał, by razem wracać do domu. Mieszkał we własnym domku ok. 200 m od gimnazjum; Był dobrym, lubianym i pomysłowym zastępowym, dobrym uczniem i kolegą. Aż...

Był 8 maja 1934 r., pamiętny, bo to tydzień imienia obu

nas, ale, jak to potem sobie uświadomiłem, początek tragedii. W dniu tym byliśmy na boisku sportowym. Wśród innych zabaw Staszek zaczął skakać w dal. W pewnym momencie, po skoku, jęknął, zabolęła go prawa noga w kostce i biodrze. Po chwili ból przeszedł. Mimo to przerwałem zabawę i odprowadziłem Staszka do domu. Minęło spokojnie parę dni, aż Staszek poczuł silny ból w biodrze. Badania lekarskie, orzeczenie — skierowanie do szpitala. Jako przyczynę ustalili, że musiał się albo uderzyć, albo źle stąpnąć. Przypomniawszy 8 maja. Założono mu gips od kolana aż po pas, tak, że biedak nie mógł się zgiąć.

Koledzy odwiedzają go w szpitalu informując, co się dzieje w klasie, co w danym dniu przerabiali, co zadane itp. Miał książki, zeszyty, odrabiał na bieżąco lekcje. Spowodowałem, że dyrektor wyraził zgodę, by został przeegzaminowany w szpitalu. Zdał, otrzymał promocję do klasy drugiej: piątki, czwórki. W czerwcu ból się wzmógł. Stwierdzono ciasne założenie gipsu, szczególnie na stawie biodrowym, wycięto więc w tym miejscu jakby ckieńko. A że leczenie wymagało tylko unieruchomienia, poradzono rodzicom, by zabrali syna do domu. Jednak, jak potem stwierdzono, nastąpiły w kościach komplikacje, na które wówczas nie było rady, organizm musiał przeleżeć chorobę sam, albo jej ulec. W czasie wakacji wyjechałem. Po powrocie, a szczególnie, gdy zaczął się nowy rok szkolny, odwiedzałem go niemal codziennie wracając ze szkoły. W ciepłe, jesienne dni 1934 r., a następnie wiosną 1935 r. albo rodzice, albo koledzy wynosili go z łóż-

kłem na łączkę nad brzeg
rzeczki skąd mógł widzieć
gmach szkoły, słyszeć dzwonki
i gwar uczniów na przerwie.

Postanowił, że będzie się
uczył, żeby nie stracić roku, a
jako harcerz poprosił mnie,
bym przygotował go do zdoby-
cia stopnia wywiadowcy (przy-
rzeczenie złożył i zdobył mło-
dzika jeszcze jesienią 1933 r.).
Poza tym zajął się majsterko-
waniem. Wyczyniał cuda. Mi-
mo bólu, niewygody, skucia i
cierpienia, nikt nigdy nie po-
słyszał jego jęku, żadnej skar-
gi. Niegasnące zainteresowa-
nie tym, co dzieje się w klasie,
zastępie, drużynie. Zastęp czar-
sowo wybrał innego zastępo-
wego, faktycznym był jedna-
nadł Staszek i wiele zbiórek
zastępu odbywało się przy je-
go łóżku. Był wzorem poboż-
ności.

Nieszczęście wiązało nas co-
raz bardziej i coraz mocniej go
podziwiałem. Cieszył się, gdy
przyniosłem świadectwo doj-
rzałości. I tak, jak w poprzed-
nim roku składał egzamin i o-
trzymał promocję do klasy III,
a jako harcerz otrzymał sto-
pień wywiadowcy. Miałem je-
chać na Złot do Spawy. Przy
pożegnaniu bardzo prosił, bym
po powrocie jak najprędzej
zjawił się u niego i wszystko
mu opowiedział. Po Złocie nie
od razu wróciłem do domu.
Był koniec sierpnia. Wybiera-
łem się odwiedzić go w ostat-
nim dniu tego miesiąca lub 1
września. Był 28 sierpnia. Póź-
nym wieczorem przyjechał je-
den z harcerzy z wiadomością
że Staszek bardzo prosi o jak
najszybsze przybycie. Spyta-
łem chłopaka, czy coś groźne-
go. Powiedział mi, że Staszek
był wesół i rodzice o żadnej
groźbie nie mówili. Była noc.
Zatrzymałem harcerza na noc,
ale ledwie świt ruszyłem do
Oszmiany. Niestety, Staszek
zmarł około 4 nad ranem. Jak

okazało się, czuł, że umrze i
chciał się pożegnać ze mną,
ale o tym wysyłając kolegę nie
powiedział, nie chcąc widać
przerazić mnie.

Gdy przyszedłem, był już
ubrany w mundur harcerski,
leżał na otomanie. U głowy
krzyż i świece, wazon, kwia-
ty. Umierał, jak mi powiedzia-
no, przytomnie, prosząc o po-
chowanie w mundurze, oraz
by nie zakładać chusty, sznura
i nie przypinać krzyża, mam
to zrobić ja. Czekali na mnie
obok na stoliku. Alarmowo
zawiadomiłem harcerzy z jego
drużyny, kolegów i dyrekcję
szkoły. Ustaliliśmy pogrzeb na
1 września, po uroczystości
rozpoczęcia nowego roku
szkolnego. Zabrałem ze szkoły
sztandar harcerski i okryłem
nim Staszka. U stóp wieniec
z dębu i lauru z dużym krzy-
żem harcerskim. I bukiet
kwiatów od siebie. Przez całe
dni 30 i 31 sierpnia przycho-
dzili harcerze, koledzy.

1 września pogrzeb. Z rana
Msza święta żałobna. Takiego
pogrzebu nie miał w Oszmia-
nie nikt przedtem i nikt po-
tem. Na miarę naszego miasta
był to pogrzeb królewski. Na
czele szedł krzyż, chorągwie,
sztandar harcerski, ponad 20
wieńców — od rodziców, dru-
żyny, dyrekcji szkoły klas.
Potem szła kompania honoro-
wa Hufca PW z bronią, dru-
żyny harcerskie miasta z krzy-
żami okrytymi krepą, ksiądz.
Na pięknie ubranym katafal-
ku na wozie tonąca w kwia-
tach trumna, na niej harcer-
ska rogatywka. Po obu stro-
nach harcerze jego zastępu z
paskami rogatywek pod brodą,
z proporczykiem zastępu i po
czterech członków Hufca PW
z bronią. Za trumną rodzice,
ja, nauczyciele i tłum ludzi. Z
domu na cmentarz ponad kilo-
metr. I szedł wspaniały orszak
główną ulicą miasta, z dala do-
chodził głos dzwonu kościel-

nego. Wszyscy harcerze, koledzy i my dorośli odczuwaliśmy jedno, że zmarł nieprzeciętny chłopak. Gdy orszak zbliżył się do bramy cmentarnej, zdjęto trumnę z wozu. Wzięli ją na ramiona jego druhowie i koledzy. Modły kapłańskie, potem głębokie w treści i uczucia przemówienia księdza prefekta, moje, kolegów, dyrekcji. Posypały się grudki ziemi. Ból ścisnął serca wszystkich, w oczach łzy. Mogiłę pokryły wieniec i kwiaty. Popłynęła modlitwa „Wieczne odpoczywanie racz mu dać Panie...”

Losy wojny, cmentarz uległ zagładzie. Miałem całą serię zdjęć Staszka i z pogrzebu, ale niestety, w zawierusze wojennej zaginęły.

14 IX 1936 r. Komendantem Chorągwi został ponownie druh hm M. Puciata, ale wskutek choroby w latach od połowy 1937 r. do połowy 1939 r. w zasadzie zastępuje go druh Grzesiak, to jest dla mnie ważne. Po maturze czekałem, jak wszyscy maturzyści, wezwania do podchorążówki, tymczasem 19 IX 1936 r. otrzymałem zwolnienie ze służby wojskowej. Było to zaskoczeniem, bo chciałem odbyć służbę, rok byłby załatwiony, odwleklaby się sprawa pracy. Na studia brak warunków finansowych w domu. W początkach 1936 r. otrzymuję pracę w Urzędzie Skarbowym w Oszmianie, a w jesieni tegoż roku otrzymuję przeniesienie do Komisji Kłasyfikacji Gruntów w Mołdecznie. Jest to mi bardzo nie na rękę ze względu na dom oraz pracę harcerską. Otrzymuję jednak obietnicę przeniesienia po pewnym czasie do Oszmiany, dlatego też nie przerywam pracy harcerskiej dojeżdżając do domu i na zbiórki co dwa tygodnie. Tu

serdecznym harcerzem okazał się Witek Stankiewicz, który w dni mego przyjazdu czeka zawsze przy autobusie i za zgodą matki zabiera mnie na noc do siebie. Wspaniały chłopak, któremu wcześniej zmarł ojciec, przywiązał się do mnie gdy przyszedł do naszej drużyny I ODH. Takie spotkanie jest radosne, długo w noc rozmowy na wspólnym łożu. Ma on młodszego brata, Muteka (10 lat), też przywiązał się do mnie. W okresie okupacji niemieckiej, obaj w AK w partyzantce Witek dwukrotnie ranny, Mutek — chwilowo moja ochrona.

Z nowym rokiem szkolnym 1936/37, w wyniku podziału szkoły nr 1, powstała w Oszmianie nowa szkoła powszechna nr 2, w związku z gwałtownym wzrostem ilości uczniów. Szkoły obie mieszczą się w jednym budynku przy ul. Mickiewicza. Kierownikiem szkoły został pan Jan Konieczny, syn jego — harcerzem. Nowa szkoła, a więc trzeba zorganizować w niej drużynę. Postanawiam zrobić to ja, mając zapewnione przeniesienie do Oszmiany. Otrzymuję zgodę kierownika, wielkiego entuzjasty harcerstwa. Trzon stanowią harcerze ze szkoły nr 1, którzy jako uczniowie zostali przydzieleni do tej szkoły, ale są i nowi. I tak 2 lutego 1937 r. powstała nowa drużyna jako III Drużyna Harcerzy im. Jerzego Michała Wołodyjowskiego (wpływ „Trylogii” Sienkiewicza), barwy czarnej (uwielbienie Komendanta Chorągwi, Czarnej i słynnej Czarnej Trzynastki Wileńskiej). Co robi drużyna? To, co wszystkie drużyny w Polsce, to, o czym tyle razy już wspominałem.

Rozkazem Naczelnika Lp. 5 z dn. 10 II 1937 r. zostaje mianowany p.o. hufcowego ksiądz Wiktor Judycki, prefekt obu

szkół powszechnych. Na członków komendy powołuje druha Józefa Narkiewicza i druha Jana Wasiukiewicza. Zgniewało to mnie, bo uważałem, że w pierwszym rzędzie ze względu na staż i przeszkolenie winien był powołać mnie. Ale lojalnie podporządkowałem się, wierząc w swoją gwiazdę. W marcu 1937 r. otrzymuję stopień Harcerza Orlego.

W lipcu 1937 r. Jubileuszowy Zlot Harcerstwa w Wilnie (25 lat harcerstwa na ziemi wileńskiej). Obozy zostają rozbite na przedmieściu Wilna na Wołokumpi. Jestem kometandantem Grupy Oszmiańskiej. Na Zlot dojeżdżałem, bo nie otrzymałem urlopu — wyjazd po pracy i powrót rano prosto do urzędu. Dostałem tylko trzy dni, no i niedziele. Tak wymagała sytuacja, takimi byliśmy, takie mieliśmy poczucie potrzeby. Chłopcy więc dawali sobie sami radę, egzamin zdają na piątkę, nie potrzebując się wstydzic za nich.

Pamiętam tylko jakąś defiladę i grę dla całości, oraz najwspanialszy moment, to ślubowanie harcerskie w Ostrej Bramie. W dniu tym wszyscy otrzymali tekst ślubowania w postaci pocztówki, na której z jednej strony było zdjęcie ryngrafu, jaki zawieszono jako wotum, srebrny, u góry krzyż harcerski i data ślubowania, u dołu herb Wilna i złotymi literami tekst ślubowania:

„Rota ślubowania harcerki i harcerzy ziemi wileńskiej: „Wielka — Boga Rodzico i Panno Najświętsza, Matko nasza, My — Harcerki i Harcerze ziemi nowogródzkiej i wileńskiej ścieląc się do Stóp Twoich w dzień rozpoczęcia nowego 25-lecia pracy naszej, obieramy Cię za naszą Patronkę, ślubując Wierność Przrzeczeniu i Prawu Harcerskiemu, oraz gorliwość w służbie

Twojej i Twego Boskiego Syna, Najukochańszego Naszego Zbawiciela Jezusa Chrystusa, Ciebie zaś Pani Niebieska prosimy o błogosławieństwo Ojczyźnie i naszej pracy. Wilno — Ostra Brama 7 lipca 1937”.

Pewnego wieczoru, gdy przyjechałem do obozu z Oszmiany, pojawili się druh Gizeziak, druh Puciata i druh ksiądz Tomasz Roztworowski i zaczęli ze mną rozmowę na przeróżne tematy — polityczne, gospodarcze i harcerskie. Gwarzyłem swobodnie nie zdając sobie sprawy z tego, o co chodzi. Uświadomiłem to sobie w parę miesięcy potem.

1 IX 1937 rozpoczął się pierwszy rok Trzyletniego Wyścigu Pracy — inicjatywa i program wspaniałego instruktora druha hm. Juliana Dąbrowskiego z GKM. Wydał on dokładne instrukcje, druki sprawozdań, podręcznik pt. „Wyścig pracy”. Celem było podniesienie pracy drużyn, wyrównanie poziomu, ożywienie działalności. 13 i 20 września wszystkie drużyny miały wyruszyć w pole (specjalne apele, ogniska), sporządzić i zakopać meldunki ze spisem członków drużyny w danej chwili, by po roku wykopać i sprawdzić, kto wytrwał, kto przybył itp. Oczywiście wszystko to ma się odbyć obrzędowo. Należało też wysłać meldunek o tym wszystkim do GKM. Zimą, a potem i wiosną wielka kampania wycieczek specjalnie punktowanych: czas trwania, odległość, sposób komunikacji, obecność itp. Oczywiście sprawą ważną było zdobywanie stopni i sprawności, umundurowanie, regularność zbiórek. 24 i 25 kwietnia Powitanie Wiosny i w związku z przypadającymi w tym czasie Dniami Lasu — sadzenie drzewek. Propozycje te bardzo ożywiły pracę, więc jest rzeczą dziwną, która nas zaskoczyła, że z początkiem roku szkolnego 1938/39 Główna Kwatera zrezygnowała z dalszej kontynuacji, a druh Dąbrowski opuścił GKM. Niestety, nie orientowaliśmy się w „rozgrywkach” na górze. Chociaż w dalszej pracy z własnej inicjatywy korzystaliśmy z podsuniętych propozycji, nieoficjalnie wyścig trwał.

W październiku 1937 r. w związku z redukcją etatów zostałem zwolniony z pracy. Byłem wolny, ale co gorsza — bez pracy. Co robić dalej? Do czasu zdobycia jakiejś możliwości zabieram się do korepetycji.

W listopadzie tegoż roku Komenda Chorągwi mimo moich oporów kieruje mnie na Kurs Starszoharcerski w Górkach Wielkich (Szkoła Instruktorów ZHP) na Śląsku. Druh Grzesiak przekonał mnie, że to mi się przyda dla mojej edukacji instruktorskiej. A więc na ówczesne czasy uzyskuje specjalizację we wszystkich trzech pionach harcerskich. Kurs kończę z wynikiem bardzo dobrym. Jest to grupa instruktorów Chorągwi Wileńskiej, dlatego jest z nami Komendant Chorągwi dh hm. Puciata.

Druh Czarny, przekonując mnie o potrzebie wyjazdu, widzi we mnie zapaleńca w pracy harcerskiej i wyraźnie szykuje mnie do pracy na szczeblu wyższym niż drużyna. Pokażą to następne lata. Czas w Górkach mija szybko i pracowicie. Wracamy. W drodze powrotnej wypada przeziadka w Katowicach, chłopaki chcą zwiedzić miasto, bo mamy przeszło trzy godziny do naszego pociągu do Wilna. Wieczór, iść do miasta z plecakami nie ma jak. Ktoś winien zostać pilnować. Zgłaszam się na ochotnika za co, by się nie nudzić, jako podziękowanie, dostaję kilo suszonych fig. Jem je aż do ostatniej... Skutek, lepiej nie mówić, aż do Wilna, kilkanaście godzin jazdy nie wziąłem do ust. W pociągu pytam druha Puciata jak tam z obiecanym mi Harcerzem Rzeczypospolitej. Dowiaduję się wówczas, że ta rozmowa na Zlocie to była próba i trzeba było zgłosić się do Komendy Chorągwi i dopilnować ogłoszenia rozkazem i wpisania do książeczki. Zrobiłem to zaraz — 10 grudnia 1937 r. otrzymałem stopień Harcerza Rzeczypospolitej. Udałem się szybko do jubilera i nabiłem na krzyż wszystkie akcesoria i poprzednich, i nowego stopnia: lilijkę, kółko i wieniec — oczywiście złoto.

Praca w drużynie toczy się normalnie. 1 maja 1938 r. spada na moje barki funkcja p.o. hufcowego, choć oficjalnym pozostaje nadal ksiądz Wiktor Judycki. Pierwsza czynność — organizuje w Oszmianie Złot wszystkich drużyn hufca w dniach 1—3 maja, w którym biorą udział w pełnym składzie trzy drużyny z miasta Oszmiany i prawie w całości drużyny z trzech miejscowości powiatu — ze Smoragów, Borun i Hołszan, razem ponad 200 harcerzy. Gry, zabawy, ognisko, a 3 maja wspaniała defilada w ramach obchodów rocznicy trzeciomajowej. Witano nas entuzjastycznie, dla uczestników — niezapomiane przeżycia.

W lipcu organizuję pierwszy obóz drużyny w Zalesiu nad Wilią (na szlaku kolejowym Smorgonie — Mołodeczno), trwający 15 dni. Wiele trudności ze sprzętem itp., ale dla harcerzy to furda. Z obozu pozostała ułożona przez uczestników piosenka na melodię włoskiej „O sole mio”:

*Ach, gdzie jest takie miejsce na świecie,
Gdzie każdy człowiek czuje się fest.
Jest jedno, o tym nie wiecie
Obóz harcerski, obóz w Zalesiu.
Obóz ten, to niby ziemski raj,
Bo jest siatkówka, koszykówka, gongów,
Obóz ten, to niby w to mi graj.
gwiazdów niby mew —
Cały harmider na obozie naszym jest.
Płynie czas, płynie czas szybko jak potok
mknie,
Lecz obozu w Zalesiu nie zapomnę, nie.*

Oczywiście gospodarka całkowicie w rękach harcerzy, łącznie z gotowaniem. Zdobywają sprawności. Ci, co ukończyli 14 lat, próbują sił w zdobyciu sprawności „trzech piór”, która wymagała wykonania trzech zadań w ciągu trzech dob: jedną dobę ukrywać się tak, by koledzy nie znaleźli się w promieniu maks. 1 km (wiedział o tym miejscu tylko opiekun zdającego), jedną dobę milcząc, jedną dobę nie jeść (wolno było tylko tzw. dary lasu jak: zebrane jagody, złowione ryby itp.). Kolejność dowolna. Była to sprawność wymagająca siły woli, zaparcia itp., prawdziwie męska. Niestety z płaczem, ale zdał tylko jeden — Rysio Terelek.

Rysio był wspaniałym moim pomocnikiem, przybocznym (drugim Staszek Wiciłojć, o którym poprzednio tak wiele napisałem). Pokochałem go jak syna. A on dał mi wzajemność. Jest synem przewodnika policji. Pamiętam jak na biwaku w Uglejowie on i wielu innych mieli zdobywać stopień młodzika przygotować się do Przysiężenia. Jedno z zadań — w nocy przejść prawie 1,5 km, częściowo przez las, do majątku, z którego na dowód wykonania mieli przynieść w ustalonej kolejności produkty. Każdy ruszał sam, gdy wrócił poprzednik. Przed próbą wziąłem Rysia na kolana, drżał, serce biło jak młot. Chciałem go zatrzymać. Nie zgodził się, poszedł. Gdy wrócił, opowiadał, że owszem, bał się, więc biegł i modlił się. Jesienią składał z innymi Przysiężenie, które pozwolono odebrać mnie. Trzeba było przerwać, bo się chłopcy rozplakali z wrażenia. Dopiero po pewnym czasie uspokoił się i złożył. Bywałem częstym gościem u niego w domu przy ul. Czesława Jankowskiego. Gdy wybuchła wojna w dniach wrześniowych, miałem o-

chotę zabrać Rysia ze sobą, ale matka twierdziła, że nic im nie grozi. Ojciec jako policjant otrzymał rozkaz ewakuacji do Wilna, a stąd razem z innymi przeszedł granicę łotewską i został internowany w Połdze. Przypadkowo znalazłem się tam i ja. Widywaliśmy się więc codziennie z ojcem Rysia, gwarząc i martwiąc się o nasze rodziny. I oto pewnego dnia przychodzi list od Rysia aż ... z Kazachstanu, gdzie z matką i dziewięcioletnim braciśkiem Goguśiem zostali wywiezieni. Opisuje jak się odbyła wywózka, co robi. On drobnutki, chucherkko, 14 lat ledwie, został, by żywić rodzinę, pomocnikiem maszynisty. W liście pyta ojca, czy nie ma wiadomości o mnie. Odpisujemy, ojciec sobie i ja obszerny list. Wysyłam mu także papier, koperty, ołówek itp., bo o to prosi ojca. Otrzymuję wkrótce bardzo obszerny list, w nim objawia się przepiękna sylwetka chłopaka, co w straszliwych warunkach nie traci humoru, pogody ducha i pisze takie mniej więcej słowa: „Mundur zakopałem, krzyż zachowałem, mam ze sobą. Gdy wrócimy, zamelduję się Tobie z krzyżem harcerskim na piersi. Nie bój się, pozostanę wierny Przyrzeczeniu”. Niestety, jak dotychczas nie sprawdziło się. Gdzie jest Rysio? W sierpniu 1941 r. już z poczty niemieckiej otrzymałem kartkę pocztową z Kazachstanu, z zaznaczeniem, że pisze właśnie na adres przedwojenny, bo chyba wróciłem do domu.

Drugim ukochanym chłopakiem był Henio Hassa, syn administratora szpitala. Udzielał mu korepetycji, codziennie więc jesteśmy ze sobą. Nie kończy się na lekcjach. Na życzenie Henka wiele jeszcze

czasu przesiaduję u niego. Po lekcjach, na werandzie zawsze słodki podwieczorek, którego gospodarzem jest tylko on. „Popijamy” słabiutkie niby wino z ryżu. Trzęsie się, gdy mam wracać do domu, a zła pogoda, prosi bym nocował. Jest częstym gościem na wsi, w moim domu. Los obszedł się z nim okrutnie. Ojciec zostaje zamordowany, on z matką i małym braciśkiem Robertem wywiezieni. Dalsze losy są mi nieznane.

Gulek i Tadek Brokowscy, synowie naszego organisty. Poznałem ich jako małych chłopczyków, gdy w pierwszym roku nauki w gimnazjum mieszkaliśmy na stancji: u zakrystiana na tym samym podwórku co oni. Stają się codziennymi moimi gośćmi, gdy wrócę po lekcjach. Znajomość i przyjaźń utrwala się. Zostają obaj harcerzami. W czasie okupacji ich dom jest niemal drugim moim domem. Tadek kończy maturę w 1939 r., Gulek — na tajnym komplecie 31 XII 1943 r. Obaj zostają po przeszkoleniu mianowani podchorążakami. Walczą w partyzantce, w której w styczniu 1945 r. ginie Gulek. Obaj wspaniali chłopcy.

Otwarty dom państwa Bittelów — rodziców dwu harcerzy Henka i Lonka. W czasie świąt, szczególnie Bożego Narodzenia i Wielkiej Nocy spędzamy nieraz po parę dni, śpiąc na stole i pod stołem dosłownie. W czasie okupacji niemieckiej oparcie dla wielu zagrożonych, dla wielu działaczy. Obaj w AK w brygadach partyzanckich.

I wielu, wielu innych, których nie pamiętam a jednak mam ich w sercu, wiem, że nasza harcerska robota nie poszła na marne, że gdziekolwiek żyją, są wartościowymi ludźmi.

